

Wspomnienia z zesłania

1941 - 1945

1. Wołkowysk - deportacja

Urodziłam się w Wołkowysku 10 lipca 1924 r. Małe to powiatowe miasto, leżące na wschodnich rubieżach Polski, jest także miejscem urodzenia moich rodziców, rodzeństwa, dziadków i pradziadków. Wszyscy się znali i wszystko o sobie wiedzieli. Ojciec mój w dzieciństwie stracił oboje rodziców. Zmarli w jednym tygodniu na tyfus, był 1914 rok. Wychowywał się z siostrą u krewnych.

Do wybuchu wojny ukończyłam 7-klasową szkołę powszechną oraz I klasę Państwowego Ogólnokształcącego Gimnazjum im. Stefana Batoro. Jeszcze przez dwa lata uczęszczałam do średniej szkoły polskiej.

Od września 1939 r. ojca nie było w domu, ukrywał się, groziło mu aresztowanie ze względu na dotychczasową pracę w więzieniu oraz budowę domu. Zaliczono go do wrogów narodu i kapitalistów. Ze skromnej pensji ojca - 183,- zł. miesięcznie - gromadzono materiały budowlane przez wiele lat. Budowę domu rozpoczęto dopiero w 1937 roku.

Ojca aresztowano w lutym 1941 roku, zabrano go z ulicy. Po nas przyszli 19 czerwca także tego samego roku. Obudził nas nocą głośny łomot do drzwi i okien, ujaśnienie psa i okrzyki naglące do natychmiastowego otwierania. Weszli uzbrojeni żołnierze NKWD. Przeprowadzono rewizję. Padło pytanie: - "Kto jeszcze znajduje się w domu?" - Sprawdzono nasze personalia. Kazano prędko się spakować, zabrać tylko niezbędną odzież, bieliznę i nieco żywności. Strach i ogromne przerażenie paraliżowały ruchy, trudno było logicznie myśleć. Mama cała się trzęsała i bardzo płakała, my razem z nią, ja i starszy o dwa lata mój brat.

Jeden z żołnierzy, gdy został sam w pokoju, poradził, by zabrać ciepłe rzeczy, siekierę i pilę; być może znał miejsce naszego zesłania. Wyprowadzono nas w domu, załadowano na duży ciężarowy samochód stojący na ulicy. Było już tam kilka rodzin, dokończono jeszcze następne. Po prostu podjeżdżano pod domy, z których wyprowadzano ludzi.

Jeszcze przed świtem przywieziono nas na bocznice kolejową. Stał tam długi skład pociągu towarowego. Podjeżdżały samochody i umieszczano ludzi w wagonach. Były brudne, wysoko w górze po dwa małe zakratowane okienka z każdej strony. Zbite z desek półki tworzyły coś w rodzaju piętra. Wszyscy lokowali się jak to tylko było możliwe. Panował ścisk, nie było żadnych urządzeń sanitarnych. Wszystkiemu towarzyszył rozdzierający płacz i bezgraniczna rozpacz. Jak bardzo wszyscy byli bezsilni, bezradni wobec takiej przemocy i zupełnie pozbawieni wszelkich praw ludzkich. Każdy myślał o tym, co zrobią jeszcze z nami? dokąd zawiozą? co nas czeka? czy kiedykolwiek wrócimy?

W ciągu dnia w kierunku naszego transportu zaczęli przychodzić ludzie, znajomi, przyjaciele i krewni. Żołnierze bardzo pilnowali, by nikt nie mógł się zbliżyć ponad ustaloną przez nich odległość. Każdy z nas starał się choć na małą chwilę zbliżyć się do okienka, by móc powiedzieć coś, zamienić kilka słów, przekazać coś pilnego i bardzo ważnego. Przecież zabrano nas zniemacka, nieoczekiwanie, przemocą. Krzyżowały się słowa, tłumione płaczem. My uwięzieni w zaryglowanych wagonach, a oni jeszcze wolni, gorzką i niepewną wolnością.

Transport ruszył nocą. Nie wiedzieliśmy, że wybuchła wojna niemiecko-rosyjska. Byliśmy świadkami bombardowania. Kiedy był nalot, żołnierze zatrzymywali cały transport, uciekali kryjąc się w pobliskich rowach, polach i zagajnikach. Nas pozostawia-

no w zaryglowanych od zewnątrz wagonach. Żadne słowa nie są w stanie opisać tego, co się rozgrywało wewnątrz.

Były też chwile postoju, by się zaopatrzyć w gorącą wodę i jakieś skąpe przydziały żywności. Dojechaliśmy do Uralu, potem do Nowosybirska, skąd dalszą podróż odbyliśmy statkiem po Obi i jej dopływnem - Ket. Dowieziono nas do Karyńskiego Kraju. Wyładowano w Białym Jarze, był to rejon. Część rodzin pozostawiono na miejscu, pozostałe rodziny podzielono na grupy i kierowano do innych miejsc. My znaleźliśmy się w grupie skierowanej do Rybińska. Jechaliśmy łożdżami.

2. R y b i ń s k

Rybińsk to osada położona na wzniesieniu nad rzeką Ket. Trochę drewnianych domków, jeden barak, stołówka, kąpielnia i sklep świecący pustkami. Rozmieszczono nas wśród Rosjan. My zamieszkaliśmy w baraku u Marusi. Jej mieszkanie - pokój z kuchnią, zamieszkiwało siedem osób: Marysia z dzieckiem, mama, brat i ja, i jeszcze jedna pani z dorosłą córką. W nocy dokuczały pluskwy i karaluchy, a w dzień niemiłosiernie ciążyły ciężłe chmury maleńkich muszek, zwanych po ros-ysku "moszką". Była pełnia lata, początek lipca, było jednak chłodno. Zwołano zebranie i przydzielono miejsca pracy: tajga i spław drewna. Zabrano wartościowe rzeczy jak np. obrączki, zegarki itp, do depozytu^u. Oznajmiono, że zostaliśmy skazani na pobyt na 20 lat. Nie wolno się oddalać bez pozwolenia nawet do najbliższych miejscowości. Uciekać nie ma sensu, tajga jest niebezpieczna, są w niej niedźwiedzie, mokradka, do najbliższej drogi kolejowej 800 kilometrów.

Praca w tajdze i na splawie przekraczała możliwości i siły Polaków. Przecież to były kobiety i bardzo młoda młodzież, prawie dzieci. W tajdze ścinano niebotyczne cedry, pilowano i układano według wymaganych norm. Tam spotykano niedźwiedzie. W samym Rybińsku były prace przy ocieplaniu budynku stołówki, dowiezieniu wody do stołówki i łaźni. Wodę czerpano z rzeki. Miała brązowy kolor od korzeni drzew. Po osadzie chodziły bezpańskie psy, piękna rasa wilków. Po środku Rybińska stała głęboka studnia o czystej i bardzo chłodnej wodzie. Miejscowa ludność miała przydomowe małe ogródki, w których rosły tylko ziemniaki. Warzywa i mięso przywozili w niedzielę ludzie mieszkający w pobliskim sowchozie.

Wieczorami nasza młodzież spotykała się, rozmawiano, śpiewano polskie pieśni i piosenki, zapcznawaliśmy się ze sobą. Jedni byli z miasta Wołkowyska, inni z okolic. Byliśmy w różnym wieku, chodziliśmy do różnych szkół i nie wszyscy się znali.

Nie pamiętam nazwisk wszystkich rodzin zamieszkałych w Rybińsku. Wspomnę więc niektóre:

- Pani Szablowska z rodziną i synem chorym na gruźlicę.
- Pani Sanecka z córką, zięciem i małym wnuczkiem.
- Pani Godzisz z synem.
- Pani Pawłowiczowa z córką Zosią.
- Pani Pawłowiczowa z synem.
- Pani Boratyńska z dziećmi.
- Pani Więckowska z mężem i z synem Wacławem.
- Pani Maksymowicz z córeczkami: Basią i Krysią.
- Pani Jezierska z synkiem Andrzejkiem, córeczką i ojcem-staruszką.
- Pan Trybus.

Umowa zawarta przez generała Władysława Sikorskiego z rządem radzieckim przynosi nam wolność. Wielka radość panuje wśród nas. Przyjechali wojskowi z Białego Jaru, oznajmili tę wiadomość, zwrócono zabrane rzeczy. Padają propozycje, abyśmy zostali. Kuszono lżejszą i dobrze płatną pracą, obietnicami, że dzieci i młodzież będą się mogli uczyć. Wszystko napróżno. Chcemy uciekać, uciekać jak najdalej od Rybińska, bliżej cywilizacji, bardziej normalnego życia, bliżej miast. Inicjatorką i duszą tego przedsięwzięcia jest pani Sanecka. Osoba bardzo odważna, energiczna, znająca doskonale język rosyjski. Postanawia, że opuścić musimy Rybińsk jeszcze przed zimą, przed zamrożeniem rzeki.

Wyjeżdżamy 23 września, płyniemy barką do Nowosybirsk. Na przystani widzimy ludzi umierających z głodu, opuchnięci, wyściełzeni i już bez jakiegokolwiek możliwości uratowania. Pani Sanecka załatwia wagon towarowy, który włączony do składu jakiegoś zestawu pociągu unosi nas w kierunku Uzbekistanu. Na dworcach i różnych postojach pani Sanecka robi rozeznanie - gdzie i jaka miejscowość byłaby najlepsza do zamieszkania. Chcemy, by był sprzyjający klimat, możliwość otrzymania pracy i zaopatrywania się w żywność. Kilkakrotnie jesteśmy w tych samych miejscowościach. Kolejarze zauważyli te manipulacje i wysadzono nas na stacji w Bucharze.

3. B u c h a r a

Buchara to typowe małe miasteczko Uzbekistanu. Przeważały domy i domki, których podstawowym budulcem była glina. Wokół rozpościerały się pola bawełny. Uzbegy ubrani w swoje narodowe stroje, na głowach haftowane "kibitiejki". Piękne kobiety i dziewczęta. Czarne długie warkocze, czarne oczy.

Mężczyźni spędzają wiele godzin w "czajchanach" czyli herbarniach popijając aromatyczną herbatę. Nie na tam stolików i krzeseł. Siedzą w kucki na specjalnych podestach, prowadząc ożywione rozmowy.

Było ciepło. Bo drodze do Buchary stopniowo roztieraliśmy się z naszej ciepłej odzieży. Pamiętam, że myliśmy się rozebrani zupełnie do mycia koło wagonu. Było bardzo ciepło, choć był już październik. A przecież, gdy wyjeżdżaliśmy z Sybiru we wrześniu, padał śnieg.

W Bucharze wynajęliśmy skromny pokój w "kibitce". Gospodarzem był Uzbek. On właśnie pomógł mi otrzymać pracę. Z nami razem zamieszkała pani Apolonia Więckowska wraz z synem Wackiem. Wspaniała kobieta i nadzwyczajny człowiek. Pracowaliśmy z Wackiem, był dużo starszy ode mnie. Początkowo mierzyliśmy pola winogronowe. Szkoda, że było już po zbiorach. Potem pracowaliśmy przy zbiorze bawełny. Zebraną bawełnę zsypywano w olbrzymie stopy, pakowano i ładowano na wielbłądy, które odwoziły do fabryk w celu dalszego przerobu.

W tym czasie Buchara rozbrzmiewała różnorakimi językami. Wojna poplątała jakby narody. A w ogóle to Związek Radziecki był olbrzymim zbiorowiskiem różnych narodowości, teraz doszły jeszcze inne, jak np. Polacy.

W Bucharze zmarły dwie małe córki p. Maksynowicz, 8-miesięczna Basia i 4-letnia Kryśka. Na Sybirze pozostał mąż p. Więckowskiej. Zmarł także w Uzbekistanie p. Jezierski. Na pewno grobów tych już nikt nie odnajdzie i nie odwiedzi ich nigdy nikt z rodziny. Podobnie jak tych wszystkich, które znaczą szlak cierniowej drogi Polaków.

Po upływie trzech miesięcy p. Sanecka otrzymała informacje o możliwości osiedlenia się w południowym Kazachstanie, Dżambule.

W międzyczasie p. Maksymowicz spotkała swoją matkę w jednym z przejeżdżających przez Bucharę transportów. Matka jej przed wojną pracowała także w Wołkowysku jako strażniczka w więzieniu. Po wielu latach dowiedziałam się, że udało się im wyjechać z armią generała Andersa. P. Maksymowicz pracowała ~~u~~ u Hanki Ordonówny. Po wojnie w Zielonej Górze spotkałyśmy Męża p. Maksymowicz. Nawiązał z żoną kontakt, ona jednak nie chciała wracać do Polski. On skolei nie mógł uzyskać pozwolenia na wyjazd do żony. W ten właśnie sposób rozpadła się młoda, kochająca się rodzina. Podobnych rodzin były tysiące, które rozdzielone przez straszliwe losy wojny już nigdy nie mogły być razem.

Wyjechaliśmy z Buchary w grudniu. Dżambuł nie meldował niktogo. Polacy osiedlali się w pobliskich kołchozach, sowchozach i małych miejscowościach. P. Saneckiej udaje się uzyskać zameldowanie w Dżambule. Tracimy z nią kontakt, by później, kiedy już i my mieszkaliśmy w Dżambule, dowiedzieć się o strasznej tragedii tej rodziny. Tyfus dziesiątkował ludzi. W szpitalu zmarła córka p. Saneckiej, potem wnuczek. Nigdy już potem więcej nie spotkałam tej dzielnej kobiety, nigdy nie dowiedziałam się o jej dalszych losach, a przecież tak wiele zawdzięczało jej tyle polskich rodzin.

Na dworzec w Dżambule przysyłano tak zwane "arby", dwukołowe wozy zaprzęgnięte w woły, i zabierano nas na osiedlenie i do pracy do poszczególnych miejscowości. Nam przypadł w udziale kołchoz Czajkuruk, oddalony o 7 kilometrów od Dżambułu.

4. Czajkuruk

Czajkuruk to w zabudowie jedna ulica. Po obu jej stronach rząd domów różnej wielkości, ale zawsze parterowej. Główny budulec to glina. Zimą, kiedy nocą lub rankiem spadł śnieg, wchodzono na dachy i smiatano go. W przeciwnym wypadku, kiedy w południe przygrzało słońce, woda ze stopionego śniegu przeniknęłaaby do mieszkań.

W kołchozie uprawiano pszenicę, kukurydzę i buraki cukrowe. Otrzymaliśmy "kibitki" składające się z korytarzyka i jednej izby. Umieszczano w takim mieszkaniu po kilka rodzin. Spaliliśmy różnie, na skrzynkach i podłodze usłanej słomą. Podłogi były gliniane. Drzewo było wielkim rarytasem. Gotowaliśmy nasze skromne posiłki na opale zbieranym w stepie, nawet w czasie zimy. Był to jakiś specjalny gatunek trzciny i traw, zakończonych kołkami. Ścinało się je sierpem, wiązało w specjalny sposób z żnurem używanym w tym celu. Zarzucano na plecy w postawie siedzącej, wstawano i transportowano do domów. Po opał chodziliśmy daleko w step. Robiliśmy wiele kilometrów, bo tylko takie odległości zapewniły obfity zbiór najlepszego opału. Latem przygotowywano jeszcze "kiziaki" z nawozu zwierzęcego z domieszką pokruszonych suchych traw z opału i z małą domieszką gliny. Suszono, formując w okrągłe placki, przyklepiając na południowych ścianach domów lub na ziemi. Nawóz na "kiziaki" zbierano również w stepie.

Do kołchozu przywieziono nas w grudniu. Otrzymaliśmy à conto przyszłej pracy z wiosną nieco maki, dalej musieliśmy radzić sobie sami. Jeśli ktoś miał cokolwiek z rzeczy zabranych z domu na wymianę, można było mieć nieco tłuszczu, mleka i mięsa.

Ludność kazachska życzliwie odnosiła się do nas. Współczuli i pomagali w miarę swych skromnych możliwości. My staraliśmy się również odwdziżyć im w jakiś sposób. Ja nauczyłam się robienia robótek ręcznych, robiąc pierwsze w moim życiu skarpetki na drutach dla dzieci naszej gospodyni. Mama podarowała mundurek gimnazjalny brata synowi gospodyni, Miszce.

Na wiosnę, po rozpoczęciu prac polowych, pracowaliśmy fizycznie przy różnych zlecanych nam pracach. Nie było to sprawą prostą dla wszystkich. Mieszkały z nami rodziny polskich Żydów. Oni nie byli przyzwyczajeni do takiej pracy i jakoś trudno to im szło. W kołchozie Czajkuruk mieszkały rodziny:

- Pan Gaber z żoną i jej siostrą, pochodzili z Bublina.
- Pan Szumowicz z żoną Halą, jej matką i dwoma siostrami.
- Pani Więckowska z synem.
- Pan Karwaser z żoną, pochodzili z Warszawy. Urodziła się im maleńka córeczka, Sylwia. Była zima, mało żywności, opału. Pamiętam, że wymienili złoty pierścionek z brylantem w oprawie platynowej na kilka kilogramów mąki.

Mój brat i syn p. Więckowskiej 29 kwietnia 1942 r. zostali wcieleni do armii generała Andersa.

Dzięki pomocy Delegatury Polskiej w Dżambule, życie nasze stało się znośniejsze. Otrzymywaliśmy pomoc w postaci kocy, obuwia, ubrań dla mężczyzn /komplet bluza i spodnie/ oraz skromne przydziały puszek zawierających kaszankę i mięso.

Ja byłam mężem zaufania na trzy kołchozy. Pisałam Polakom tam mieszkającym podania do Delegatury z wyszczególnieniem potrzebnych im rzeczy. Zawoziłam te podania do Dżambużu, a po przyznaniu zapomóg oni sami osobiście te dary odbierali. Wyprawy moje do odległego o 7 kilometrów Dżambużu odbywały się konno. Konia przydzielano z kołchozu. Był to najwspanialszy

środek lokomocji, jaki można było sobie wymarzyć. Koń był dla Kazachów najważniejszy, oswajali się oni z nim od niemowlęctwa, jeżdżąc z matką lub ojcem. Drugim takim środkiem lokomocji były osły. Też się wspaniale na nich jeździ, tylko ze znacznie mniejszą szybkością.

Z pracownicy fizycznej kółchozu - dzięki poparciu naszej gospodyni - awansowałam do pracy w miejscowej szkole jako księgową. Poprzedzeniem tego była pomoc przy bilansie księgowemu kółchozu. Prace były bardzo nieskomplikowane, polegały na wypełnianiu pewnych rubryk w drukach lub przepisywaniu. Przeszłam więc wiele etatów, łącznie ze sprzątanien szkoły.

Pracując w szkole, poznałam Nataszę, uczyła języka rosyjskiego. Była młodą, świeżo upieczoną nauczycielką, pochodziła z Charkowa, studia kończyła w Moskwie. Pięknie śpiewała, była prostolinijna, bardzo żywa, o dużych zainteresowaniach. Zaprzyjaźniłyśmy się. Matka z braćmi Nataszy mieszkała w Dżambule. Ojciec, jakiś wysoki urzędnik - inżynier, pracował z dala od domu, budując drogi kolejowe. Bracia Nataszy zostali powołani do Armii Czerwonej. Poznałam mamę Nataszy, była bardzo skromna i jakże serdecznym człowiekiem. Często Natasza zabierała mnie na niedzielę do Dżambułu. Sprawiałyśmy wiele radości jej mamie, żyła oczekując tych właśnie niedziel oraz listów od synów i męża. Pokonywałyśmy z Nataszą odległość do miasta oczywiście pieszo. Jak dobrze było razem wędrować bezkresnym stepem. Pola kółchozowe miały specjalny system nawadniania, przesyłały je kanały. W kółchozie nie było światła elektrycznego. Mama zrobiła z buteleczki po lekarstwie coś w rodzaju lampy naftowej. Buteleczka napełniona naftą, zanurzony w niej knot - dawały małe świateczko, przy którym nawet zrobiłam sobie sweter.

Głównym pożywieniem były zacierki zarzucone na wodę lub mąka kukurydziana. Latem buraki cukrowe pieczone. Na wielkie święta - makaron sporządzony tak jak robiły to miejscowe gospodynie. Raz nawet była gotowana wrona, ale bardzo twarda. Prawdziwą ucztą był pieczony jeź.

W kołchozie nie było chleba, tylko przydziały mąki. Nauczyliśmy się piec tzw. "lepioszki". Piekło się je w dwóch patelniach zwanych po kazachsku "tabańczami". Zrobione ciasto - mąka z wodą i solą - układało się na jednej patelni, przykrywało się drugą i piekło w palenisku, stawiając na rozżarzone "kizaki", przykrywając opałem - tzw. "topką". "Lepioszki", prażona kukurydza, pszenica - były rarytasem.

Pamiętam bolesną sytuację, kiedy zmuszano nas do wzięcia - oczywiście dobrowolnie - paszportów jako obywatele Związku Radzieckiego. Mnie po ukończeniu 18-tu lat przez kilka godzin przetrzymywano w kołchozowej świetlicy przełamując, że moje miejsce urodzenia świadczy o moim obywatelstwie. Ziemia ta już na zawsze są włączone do Związku Radzieckiego, a Polska już nie istnieje i istnieć nigdy nie będzie. Przerażona, broniłam się tylko jak mogłam, twierdząc, że urodziłam się Polką i pozostanę nią na zawsze. Grożono, że będę bardzo żałować mojego oporu.

Rzeczywiście długo nie trzeba było czekać. Usiłowano mnie zabrać do Karagandy, do pracy w kopalni. Dzięki pomocy - uprzedzeniu mnie przez gospodynię - że przyjechali z Dżambułu po mnie, uciekłam do miasta. Przez tydzień ukrywałam się u mamy Nataszy. Kiedy zbierali swój kontyngent - odpowiednią ilość osób, a wszystko ucichło, wróciłam. Działo się to w 1943 roku.

Od września Natasa przenosi się do Dżambu. Pracuje w 10-klasowej szkole średniej im. Nadieżdy Krupskiej jako nauczycielka języka rosyjskiego w starszych klasach. Dzięki jej staraniom w grudniu tegoż roku przeprowadzamy się z mamą do Dżambu. Uzyskujemy zameldowanie dzięki pracownikowi administracyjnemu szkoły w mieście. Natasa pomaga w otrzymaniu pracy w tej samej szkole mnie jako pomocy w sekretariacie i księgowości. Po krótkim czasie pracuję dodatkowo jako bibliotekarz.

5. D ż a m b u ł

W Dżambule wynajęliśmy kącik w kuchni u Rosjanki. Ona sama mieszkała z córką Niurą w pokoju.

Praca w szkole bardzo mnie się podobała, doskonaliłam coraz bardziej mój język rosyjski. Wszyscy byli szczerzy i odnosili się do mnie z wielką sympatią. Młodzież z klas naturalnych pomagała w bibliotece. Może sprawiała to moja młodość i poważne potraktowanie swoich obowiązków, było mi dobrze. Odywianie było nadal więcej niż skromne, dotyczyło to prawie wszystkich. Wszystko kierowano na front. W mieście wtapywano psy i koły.

Dyrektorka szkoły ułatwiła mi dostanie się na roczny skrócony kurs szkoły pedagogicznej. Miała powstać szkoła polska. Chodziłyśmy razem z Niurą, co bardzo pomogło mi w nauce, zdawaniu egzaminów i ukończeniu szkoły. Pracując, uczyłam się jednocześnie. Po otwarciu średniej szkoły dla dzieci polskich im. A. Mickiewicza zostałam w niej nauczycielką klas początkowych.

Rozpoczął się nowy i wspaniały okres w moim życiu. Nic nie stanowiło problemów, ani brak podręczników i zeszytów. Organizowało się wszystko na miarę możliwości. Nauczyciele z poprzedniego mojego miejsca pracy udzielali wskazówek, rad, nauczyli pisania konspektów czyli przygotowania się nauczyciela do lekcji.

Nauczyciele byli w szkole polskiej różni, pochodzili z różnych środowisk i o bardzo zróżnicowanym kierunku wykształcenia. Młodzież - podobnie. Rozpiętość wieku duża. W mojej I klasie miałam uczniów w wieku od 7 do 11 lat. Były dwa oddziały I kl., ponieważ tych maluchów było najwięcej. Przeważały wśród nich dzieci z Domu Dziecka.

Szkoła mieściła się w małym, kilku izbowym budynku w podwórzu. W pobliżu był "bazar" czyli rynek zwany "bazarem mącznym". Może dawniej sprzedawano tam mąkę. Wzniesiony na wzgórzu, które z jednej strony bardzo strome zbiegało w kierunku ulicy, przy której znajdowała się szkoła. Wielką frajdą było zbieganie z tego wzgórza, a w drodze powrotnej wspinanie się. Oczywiście, że można było iść do szkoły i wracać z niej normalnie ulicą.

Pierwsze zetknięcie się z moją klasą pozostanie dla mnie na zawsze niezapomniane. Brakło mi słów, nie mogły przejść przez gardło. Tyle dzieci, tyle oczu skierowanych w moją stronę. Praca dawała mi dużo satysfakcji, praca z dziećmi to coś wspólnego. Postanowiłam, że w przyszłości będę pracować tylko w szkole.

W czasie dużych przerw, dzieci i my, nauczyciele, otrzymywaliśmy posiłek. Kasza kukurydziana, okraszona skapo oliwą. Była to pomoc Ameryki. Posiłek ten stanowił wiele dla zawsze zgłodniałych dzieci. Przydział chleba była niewystarczająca, chleb zawierał dużo niejadalnych składników /np. łuski kukurydzy/, był niedopieczony i ciężki jak glina. Jadło się go jednak ze smakiem i nie mieliśmy nic przeciwko temu, żeby było go więcej. Moim wielkim marzeniem było, by po powrocie do Polski mieć do syta ugotowanych i wcale niekraszonych ziemiaków i niczym nie smarowanego chleba.

Mam fotografię z tamtych czasów, na niej jestem ja z moimi dziećmi z I klasy, wiele z tych dzieci to półsieroty lub zupełne sieroty. Zdjęcie to zrobione zostało na pamiątkę, jakże bardzo do dziś mi drogą. Wkrótce miałam z tymi dziećmi się pożegnać, ponieważ na skutek starań naszej rodziny z Wołkowyska otrzymałyśmy tzw. "wyzew" czyli zaproszenie do powrotu. Tereny te były już wolne.

6. P o w r ó t

Dżambuż opuszczaliśmy w końcu kwietnia 1945 r., do Wołkowyska przyjechaliśmy 7 maja. Miasto zbombardowane, ocalały tylko domostwa na jego krańcach. Postanowiłyśmy wyjechać jako repatrianci, nastąpiło to we wrześniu tego samego roku. Mamie nie udało się otrzymać dokumentów, stwierdzających pozostawione mienie. Warunkiem wydania takich dokumentów było opłacenie wszelkich podatków za czas naszej nieobecności. Ponieważ nie posiadałyśmy niczego więcej, jak tylko to, co na sobie, nie mogłyśmy tego warunku spełnić. Mama postanowiła wyjechać do Polski i to jak najszybciej, póki nie zabraniano.

Wyjechałyśmy więc najbliższym transportem. Na granicy odebrano ludziom dokumenty, pozostawiono tylko karty repatriacyjne. Wtedy to też utraciłam moje szkolne konspekty i tomik poezji Lermontowa, podarowany mi przez ciocię. Rewizja nie była przeprowadzana zbyt dokładnie, tak że niektórym ludziom udało się przewieźć dokumenty i różne pamiątki.

7. Zielona Góra

Do Zielonej Góry przyjechaliśmy we wrześniu 1945 roku. Mieszkam tu do dziś, zżyłam się i przyzwyczałam do tego ładnego miasta. Stało się ono drugim tak drogim dla mnie miastem

po moim rodzinnym. Tu założyłam rodzinę, tu urodziły się moje dzieci.

Ojciec wrócił z KOMI ASRR w 1954 roku i zmarł przed upływem roku. Stan jego zdrowia był więcej niż zły. Opowiadał, że nawet na jednej pryczy spał w obozie ze zmarłym kolegą przez kilka dni, by móc otrzymywać jego przydział żywności.

/Regina Maksymowicz/

Wspomnienia z zesłania Reginy Maksymowicz na podstawie nagrania magnetofonowego w dniu 21.10.1990 r. opracował

dr Czesław Bazan